

Jak miasto dzieli się władzą

Trwająca niemal dwa lata batalia, przegrana przez środowiska kultury (choć doprowadziła do zwania szeregow obywatelskiego protestu i wygenerowała wiele spontanicznych inicjatyw), pokazała dobitnie, że władza w Łodzi nie słucha ludzi kultury. Rządzący – i owszem – zorganizowali konsultacje społeczne i debaty publiczne, ale wniosków z nich płynących nie wzięli pod uwagę. Między innymi to negatywne doświadczenie spowodowało, że ludzie, którzy angażowali się w rozmowy z władzą, próbując wpływać na politykę kulturalną miasta w ramach Komisji Dialogu Obywatelskiego ds. Kultury, poczuli jałowość swoich wysiłków. W lutym zarządzeniem prezydent miasta komisja została rozwiązana. Była to ostatnia działająca jeszcze KDO.

Partycypacja po łódzku realizuje się poprzez budżet obywatelski, konsultacje społeczne oraz Komisję Dialogu Obywatelskiego, czyli ciała doradczo-opiniujące tworzone przez przedstawicieli organizacji pozarządowych (ich opinie nie są wiążące). Aparat administracyjny do obsługi partycypacji w Urzędzie Miasta Łodzi to Biuro Aktywności Miejskiej, zajmujące zrewitalizowany budynek przy ul. Tuwima 10. Biuro działające w strukturach Departamentu Strategii i Rozwoju zajmuje się dziedzictwem Łodzi, integracją społeczną cudzoziemców, jednostkami pomocniczymi (m.in. radami osiedli), konsultacjami społecznymi, budżetem obywatelskim i inicjatywami mieszkańców, organizacjami pozarządowymi i wolontariatem oraz przeciwdziałaniem wykluczeniu społecznemu.

Rozmawiałem z Moniką Dolik, pełnomocniczką prezydenta miasta Łodzi ds. współpracy z organizacjami pozarządowymi, działającą w ramach Biura Aktywności Miejskiej (na stanowisku od października 2022). Pytałem ją o model relacji z organizacjami pozarządowymi, jaki chciałyby zbudować, o komisje dialogu obywatelskiego, a w szczególności o komisję ds. kultury, o to, jakie znaczenie ma w relacjach z miastem poczucie braku sprawczości po stronie społecznej. Autoryzując swoje wypowiedzi, Monika Dolik napisała je niemal całkowicie od początku, zmieniając diametralnie ich wymowę. Na moją uwagę, że przecież nie mówiła tego, co teraz próbuje narzucić, odmówiła autoryzacji swoich słów wypowiedzianych podczas oficjalnej rozmowy ze mną. Żeby zarysowany w artykule obraz partycypacji w Łodzi w jak największym stopniu odpowiadał temu, co się dzieje, postanowiłem mimo wszystko zrelacjonować szczerze opinie pełnomocniczki, a nie zamieszczać PR-owej zasłony dymnej. Monika Dolik przedstawiła siebie jako osobę, która wierzy w to, że każdy mieszkaniec ma wpływ na miasto, że da się połączyć mieszkańców, organizacje pozarządowe i urząd, stworzyć wspólną wizję. Przyznała, że co prawda ostateczne decyzje nie zależą od niej i każdego dnia musi się z tym mierzyć, ale kropla drąży skałę i małymi krokami różne rzeczy można osiągnąć.

Od dawna wiadomo, że z realizacją idei partycypacji obywatelskiej nie jest łatwo. Pojawiła się ona na Zachodzie jako odpowiedź na kryzys demokracji liberalnej. Czasem określa się partycypację jako demokrację deliberatywną w odróżnieniu od przedstawicielskiej. Partie polityczne ubiegające się o władzę stały się elitarne i nie reprezentują dużych grup społecznych. Przekonanie obywateli, że niewiele od nich zależy, bo „politycy piszą programy w kampanii wyborczej nie po to, żeby je realizować po wygranych wyborach”, prowadzi do spadku zainteresowania procesem wybierania swoich reprezentantów. Partycypacja rozumiana jako obietnica redystrybucji władzy dawała nadzieję na zaktywizowanie społeczeństwa. Praktyczny jej wymiar, czyli różnicę między pustym rytuałem a realną władzą obywateli zilustrowała w końcu lat 60. XX w. amerykańska aktywistka Sherry R. Arnstein w klasycznym artykule „Drabina partycypacji”. Wyróżniła osiem poziomów, im wyższy szczebel, tym większy wpływ obywateli na wynik procesu politycznego. Na samym dole znajdują się manipulacja (1) i terapia (2). Tu władza kształci lub „leczy” uczestników działań. Potem są informowanie (3) i konsultacje (4) – obywatele mogą słuchać władzy i być wysłuchanymi, co nie

oznacza, że ich stanowisko władza weźmie pod uwagę. Kolejny szczebel to ugłaskiwanie (5), czyli dopuszczenie obywateli do procesu w roli doradców, ale bez zdolności decyzyjnych. Te trzy poziomy Arnstein określiła jako działania pozorne. Uspołecznienie władzy zaczyna się według jej rozróżnienia na szczeblu szóstym – to partnerstwo, które pozwala negocjować z władzą. Na szczycie drabiny znalazły się delegowanie (7) i kontrola obywatelska (8). Określenia te opisują sytuacje, w których obywatele podejmują decyzje prawie lub całkowicie samodzielnie.

By poznać organizacje pozarządowe, których nie zna, a z innymi nawiązać kontakt na nowo, Monika Dolik (sama wywodzi się ze środowiska NGO's) wymyśliła „śniadania pozarządowe” – cykl spotkań branżowych. Mają pomóc ludziom łączyć swoje zasoby („Ktoś mówi: mam salę, a nie mam ludzi, ktoś inny ma ludzi, a nie ma sali. Ktoś ma rzutnik, mógłby zrobić warsztat, ale nie ma dla kogo”). To również pomysł na podtrzymanie dialogu z organizacjami pozarządowymi. Takie spotkanie z przedstawicielami sektora kultury odbyło się w styczniu.

– Powiedzieliśmy, że inaczej wyobrażamy sobie współpracę z miastem, że powinna się z nią wiązać jakaś sprawczość, że chcemy panelu obywatelskiego, współdecydowania, nie opiniowania, które nie jest brane pod uwagę – relacjonuje Przemysław Owczarek, były wiceprzewodniczący KDO ds. Kultury, reprezentujący trzy stowarzyszenia literackie. – Chcemy debaty z rzeczywistym udziałem mieszkańców, gdzie moglibyśmy wspólnie wypracowywać rozwiązania. W obecnej sytuacji nie spełniamy jakiegokolwiek sensownego modelu partycypacji. Od lat przeżywamy ugłaskiwanie, parakonsultacje, informowanie.

Zaproponowali zorganizowanie panelu obywatelskiego (deliberatywnego) w sprawie kultury wzorem tego, który odbył się w Lublinie. Strona internetowa UMŁ tak w skrócie opisuje tę formę partycypacji: „To sposób podejmowania ważnych dla miasta decyzji przez losowo wyłonioną grupę mieszkańców. Jego celem jest wspólne wypracowanie rekomendacji – zaleceń, w jaki sposób miasto powinno rozwiązać omawiane problemy z poszanowaniem dobra wspólnego”. W 2020 roku odbył się w Łodzi panel „Zieleń w mieście”. Od listopada 2022 trwa panel dotyczący redukcji emisji gazów cieplarnianych. Miasto miało się zastanowić nad panelem w sprawie kultury. Zamiast odpowiedzi przyszło zaproszenie na kolejne śniadanie. Stawiła się na nim tylko strona urzędowa – Monika Dolik i połowa Wydziału Kultury z jego dyrektorem Jackiem Grudniem.

Tomasz Majewski, łódzki filmoznawca, dziś profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Polskiego Towarzystwa Kulturoznawczego, ma doświadczenie jako animator kultury w Łodzi i osoba społecznie angażująca się w opiniowanie rozwiązań legislacyjnych dotyczących kultury. Zalicza siebie do grona mających złe doświadczenia we współpracy z miastem. Po porażce rozwiązań wprowadzanych na siłę przez władze zwykle pojawia się przestrzeń dobrej woli do współpracy ze stroną społeczną – organizacjami pozarządowymi, artystami, profesjonalistami sektora kultury. Jednak gdy rozmowy dotyczą określonych rozwiązań, szybko okazuje się, że strona urzędowa jest niedecyzyjna – najpierw przyjmuje argumentację strony społecznej, a potem tłumaczy, dlaczego nie może tego zrobić albo że nie od niej to zależy. Dlatego po stronie społecznej gaśnie dobra wola, pojawia się zniechęcenie, zmęczenie. Menedżerowie kultury, aktywiści zaangażowani w takie relacje mają poczucie, że zostali wykorzystani do legitymizowania działań władzy. Jak mówią, stali się listkiem figowym. Władza może potem ogłosić, że decyzje, które zdaniem aktywistów są absolutnie złe, zostały skonsultowane. Nie ma znaczenia, czy strona społeczna opiniowała te rozwiązania pozytywnie, czy negatywnie (podobnie jest z budżetem obywatelskim – władza oddaje obywatelom zarządzanie procentem budżetu, żeby w spokoju decydować o pozostałych 99 procentach). Taki scenariusz się powtarza.

– Mimo doświadczeń, które sugerowały, żeby tego już nie robić, ponownie wszedłem w skład KDO ds. Kultury – mówi Tomasz Majewski. – Pierwsze spotkania jak zwykle były obiecujące. Wydział

Kultury był skłonny organizować spotkania z osobami, które udzielały nam informacji, np. na temat budżetu sektora kultury, co pokazywało uwarunkowania. Kiedy jednak KDO chciała mieć wpływ na delegowanie osób do komisji konkursowych na stanowiska dyrektorskie w instytucjach kultury w Łodzi i modelować przepisy dotyczące konkursów – nasz głos był blokowany, a wpływ na gremia konkursowe stawał się coraz mniejszy. Sytuacja powtórzyła się w wypadku centralizacji domów kultury. Nie mamy więc realnego wpływu na rozwiązania. Widzimy, że nasz partner, czyli Wydział Kultury, z którym zasiadamy do rozmów, sam jest petentem w Urzędzie Miasta. Tak oto miasto zmarnowało kolejną dawkę dobrej woli po stronie tych, którzy już wielokrotnie zostali „obici” w procesie dialogu z miastem, ale podnieśli się jeszcze raz.

– Apelowaliśmy o transparentne komisje w konkursach na stanowiska dyrektorów instytucji miejskich – uzupełnia Przemysław Owczarek. – Zakładaliśmy szeroką reprezentatywność: skoro są związki zawodowe, są przy instytucjach stowarzyszenia, jest III sektor i KDO go reprezentuje, jest wiele innych podmiotów stanowiących otoczenie społeczne instytucji kultury, to ludzie z tych podmiotów powinni uczestniczyć w obradach komisji konkursowych – na tym polegałaby sensowna partycypacja. Jeśli zatem składy tych komisji ustalane są według widzimisię władzy, to zastanawiamy się, czemu ma służyć ta ściema.

Komisja Dialogu Obywatelskiego ds. Kultury nie działa, bo jak twierdzą jej przedstawiciele, miasto ich nie słucha, przestali więc przychodzić na zebrania KDO. Co prawda Monika Dolik zasugerowała, że to opinia wąskiego grona, a komisja była wewnętrznie podzielona, przypomniałem jej jednak, że pozostałe komisje również nie działają. Może też nie są słuchane? Na to Monika Dolik wyraziła przypuszczenie, że może brakuje dialogu, otwarcia. Kiedy sama była w organizacji pozarządowej, wydawało jej się, że ma mnóstwo wspaniałych pomysłów, ale z tymi pomysłami nic się nie dzieje. Podczas rozmowy z „Kalejdoskopem” zastanawiała się, czy może tu jest tak samo. Według niej w organizacjach pozarządowych jest wielu praktyków, ludzi, którzy znają się na swojej robocie najlepiej, a mimo to ich pomysły gdzieś znikają.

Właśnie trwają wybory do Łódzkiej Rady Działalności Pożytku Publicznego (Monika Dolik kieruje jej pracami). Do dziesięciu wyłonionych przedstawicieli organizacji pozarządowych w radzie dołączy siedmiu pracowników Urzędu Miasta i trzech radnych. Jest to ciało doradcze przy prezydencie, jego zadaniem jest m.in. komentować uchwały i dokumenty strategiczne dla miasta. Wśród osiemnastorga kandydatów do rady nie ma reprezentacji organizacji związanych z kulturą (oprócz jednej osoby, która łączy zainteresowanie kulturą i zdrowiem). Dlaczego się nie zgłosiły? To środowisko zostało wykluczone czy samo się wykluczyło? Na tak postawione pytanie Monika Dolik nie potrafiła odpowiedzieć. Wyraziła tylko ubolewanie. Mówiła, że pewnie ludzie kultury nie mają zaufania. Jest jednak za tym, żeby „gadać”, nawet jak jest trudno, żeby grać w otwarte karty, nawet jeśli ona nie może sprawić, by kultura w Łodzi i podejście do niej się zmieniły.

Centralizacji domów kultury sprzeciwiła się cała strona społeczna – pracownicy, związki zawodowe, organizacje pozarządowe, środowisko artystyczne, Rada Seniorów, Rada Pożytku Publicznego. Wszystkie podmioty przedstawicielskie społeczeństwa obywatelskiego w Łodzi powiedziały „nie”, a mimo to projekt przeprowadzono w niezmienionym kształcie. – W tym sensie nie istniejemy dla tej władzy, a my chcemy rozmawiać – konstatuje Przemysław Owczarek.

Chcieli rozmawiać o centralizacji domów kultury. Można było ten model lepiej przemyśleć. Rozumieli, że stoją za tym kwestie finansowe, podatkowe, że jest kryzys i miastu trudno wyjść na prostą. Proponowali, żeby lekko przesunąć akcenty, by sprawić, że model będzie lepszy, bardziej sprawczy, ale to nikogo nie interesowało. Pani prezydent nie chciała się z nimi spotkać. To znaczy, że są niepotrzebni, choć istotą partycypacji jest upodmiotowienie obywatela w procesie decyzyjnym.

Efekt centralizacji jest taki, że Miejską Strefę Kultury paraliżuje biurokracja. – Przecież domy kultury to jest pierwszy stopień edukacji kulturalnej, tu młodzi ludzie profilują się na pisarzy, muzyków, malarzy, tu kształtowane jest wstępne krytyczne myślenie o kulturze i świecie oraz formy uczestnictwa w życiu lokalnej społeczności – tłumaczy Owczarek. – Te działania jednocześnie mogą być bardzo prospołeczne. Zamiast dać ludziom w domach kultury autonomię, iść modelem partycypacyjnym, jak najbardziej demokratycznym, zrobiono coś, co jest jego przeciwieństwem.

Zresztą po co nam dialog społeczny? Przecież wybieramy swoich przedstawicieli. – Po co nam jeszcze ta noga w postaci budżetów partycypacyjnych, konsultacji społecznych czy komisji dialogu społecznego? – pytam prowokacyjnie. – To nie jest noga. To jest kręgosłup demokracji lokalnej – słyszę w odpowiedzi. – Jeśli myślisz, że raz na cztery lata, głosując, oddajesz władzę w ręce ludzi, którzy będą potem rządzić za nas, to nie masz żadnej kontroli społecznej i sprawczości – rozwija myśl Owczarek. – Jeśli podstawowe zasady, które organizują życie społeczne, nie są respektowane, to nie możemy o sobie (czyli o Łodzi) decydować i mówić, że jesteśmy sensownie działającą demokracją, miejską wspólnotą czy społecznością kulturalną w mieście. Sfera wartości leży po stronie kultury i w ogóle kultura organizuje nam kręgosłup moralny, przez nią przychodzą do nas wartości, również te, których nie da się przełożyć na pieniądze.

Demokracja deliberatywna nie zastępuje wyborów do ciał przedstawicielskich. Nie jest też formą plebiscytu. Proces deliberacyjny jest, według Tomasza Majewskiego, przede wszystkim procesem, w którym wytwarza się wiedzę. Niezależnie od tego, jakie kompetencje wnoszą strony rozmowy, dobre rozwiązania najczęściej wynikają dopiero z tego, że punkt widzenia i doświadczenia zostają przekazane drugiej stronie. To jest sprawa absolutnie kluczowa. Decyzje urzędu nie mogą być dobre, jeśli nie korzysta on z wiedzy i kompetencji drugiej strony. Przy czym prawda nie leży ani w magistracie, ani na ulicy. Prawdę wypracowuje się w dialogu. Takie rozmowy często pokazują stronie społecznej uwarunkowania prawno-instytucjonalno-finansowe. A ta wiedza jest jej niezbędna.

Jednak – jak zauważa Tomasz Majewski – w Łodzi PR zastępuje dyskusję o problemach. Gdy nie ma rozmowy o problemach, to się ich nie nazywa i wtedy rządzącym wydaje się, że one nie istnieją. Tak Majewski rozumie sens demokracji deliberatywnej: miasto nie jest własnością władz miejskich. Dysponują one środkami publicznymi, a zachowują się jakby wydawały prywatne pieniądze.

– Partycypacja, funkcjonowanie aparatu urzędniczego zajmującego się budżetem obywatelskim, konsultacjami społecznymi, komisjami dialogu obywatelskiego jest formą budowania wizerunku i poparcia dla władz miasta – wyjaśnia dalej Majewski. – Jeśli przyjrzymy się działalności odpowiednich agend UMŁ, widzimy, że realizują one cele zupełnie inne od tych deklarowanych, do których nominalnie są powołane. Profesor Jan Lutyński jeszcze w czasach PRL napisał znakomite opracowanie dotyczące teorii działań pozorowanych. Pokazał, jak analizować sytuacje, instytucje, praktyki, których realna funkcja jest zupełnie inna niż ta deklarowana, jak wygląda zagmatwanie świata społecznego, w którym mamy preferencje dla działań pozorowanych. W sprawie MSK do konsultacji doszło w momencie, kiedy decyzje już zapadły. Cały wysiłek szedł na to, żeby projekt przeprowadzić. To było wyraźnie siłowe rozwiązanie. Strona społeczna została potraktowana instrumentalnie. Poprzez centralizację miasto rozwiązywało zupełnie inne problemy niż te, na które wskazywało w projekcie. Być może realnym powodem była szczupłość środków w sektorze kultury.

Tutaj, zdaniem Majewskiego, leży odpowiedź na pytanie, dlaczego nie zorganizowano panelu obywatelskiego poświęconego problemom kultury. Bardzo trudno pochwalić się dobrymi rozwiązaniami w tym sektorze, a mamy tu wiele pól minowych. Powszechnie wiadomo, że nastawienie ludzi kultury do władz miasta nie jest dobre. A władzom zależy przede wszystkim na tym, żeby dobrze wypaść. Sektor kultury jest trudny, niedofinansowany, ponosi koszty złych rozwiązań. Trudno się z nich wycofać, nie przyznając się do popełnionych błędów. A

nieprzyznawanie się do błędów to powszechnie stosowana dzisiaj technika PR-owa niezależnie od opcji politycznej.

Kiedy pytam, czy warto się angażować w dialog z władzą mimo złych doświadczeń, najbardziej zdeterminowany wydaje się Marcin Polak, artysta, aktywista, kurator, społecznik i redaktor portalu „Miej Miejsce”, w KDO ds. Kultury reprezentujący fundację „Miasto Ludzie Czyny”. – To jest syzyfowa praca, ale czasami udaje się wprowadzić w życie część naszych postulatów. Z inicjatywy społecznej powstały programy dla ludzi związanych z kulturą i sztuką, na przykład system miejskich stypendiów artystycznych, będący pokłosiem projektu i wystawy „Zawód Artysty”, który organizowałem z Tomaszem Załuskim. Pracowaliśmy nad tym z urzędnikami, którzy na początku mówili, że nie ma na to funduszy, że się nie da, ale po roku, przy zaangażowaniu głównie artystów i artystek sztuk wizualnych, udało się te stypendia wprowadzić. Funkcjonują już od ok. 10 lat i mam wrażenie, że są flagowym projektem łódzkiej kultury. Kropla drąży skałę. Udało nam się też przekonać urzędników do rezygnacji z konieczności dołączania kosztorysu do wniosku stypendialnego, co było o tyle istotne, że stypendia nie powinny przypominać konkursu grantowego, a raczej być nagrodą za pracę czy zachętą do dalszego działania.

Dlaczego władza nie chce się dzielić władzą? Przecież dopuszczenie obywateli do decydowania nie wyklucza osiągnięcia sukcesu, którym można by się pochwalić. Tomasz Majewski uważa, że to jest kwestia mentalności, kto jest formowany w jakich regulacjach kultury, jak wyobraża sobie bezpieczną dla siebie sytuację. Chodzi o myślenie w kategoriach zabezpieczenia się. To wiąże się z odwlekaniem decyzji, niedecydowaniem się na rozwiązanie, które niesie ze sobą ryzyko. Nie rozmawia się o potencjałach, unika się bycia otwartym na transformację. W Łodzi ogromna ilość energii idzie na to, żeby niczego nie zmienić. To, że nie można dotrzeć do samych decydentów, jest również formą zabezpieczenia się, żeby nie musieli mieć wiedzy i podejmować decyzji albo tłumaczyć się z niepodejmowania decyzji.

A niektóre problemy zdaniem Marcina Polaka wymagają podjęcia odważnych decyzji politycznych, na przykład kwestia konkursów na stanowiska dyrektorów instytucji kultury. – Nam się nie udało wprowadzić zmiany, ale nasi przedstawiciele byli w kilku komisjach konkursowych i dzięki temu wiemy, jak te konkursy wyglądały. To utwierdziło nas w przekonaniu, że zasady konkursów trzeba koniecznie zmienić. W konkursie na dyrektora Muzeum Miasta Łodzi jeden z kandydatów był zaproszony do udziału przez przedstawicieli Wydziału Kultury, co nie jest niczym złym. Ale później ten kandydat dostawał absurdalne pytania, np. o liczbę drzew w ogrodzie MMŁ. Inne konkursy często nie mają rozstrzygnięć, jak w wypadku Domu Literatury. Mam wrażenie, że ta sytuacja jest częścią jakiejś układanki polityczno-personalnej, bo przecież byli ciekawi kandydaci i kandydatki, ale urzędnicy nie chcieli dokonać wyboru, a nawet uzasadnić dlaczego. Na marginesie, po stronie Urzędu Marszałkowskiego kryteria wybierania też nie są jasne: kandydat w konkursie na dyrektora Muzeum Sztuki, który w normalnych realiach przegrałby z kretelem, pokonał doświadczonych muzealników i dostał dziewięć głosów na dziesięć. W tej sprawie każda władza postępuje podobnie.

Na ostatnim spotkaniu z Moniką Dolik przedstawiciele organizacji pozarządowych uczulali pełnomocniczkę na utrudniony kontakt z panią prezydent (komisji udało się to raz: online). – Widzieliśmy, że poprzednik pani Moniki – Łukasz Prykowski bardzo się starał, ale zrezygnował, bo widział, że nie za bardzo jest w stanie cokolwiek zrobić. Był pełnomocnikiem pani prezydent, a nie mógł się z nią spotkać – mówi Marcin Polak.

Pytana o dostęp do ucha szefowej, Monika Dolik nie potrafi wskazać konkretnej procedury. Jeśli będzie potrzeba kontaktu, zwróci się do asystentów pani prezydent.

Choć partycypacja nie jest remedium na wszelkie bolączki sektora kultury – przyznają to

przedstawiciele strony społecznej – warto zapytać, co dalej z przerwany dialogiem. Monika Dolik chce wrócić do formuły Komisji Dialogu Obywatelskiego, choć to ciało obciążone jest wpisanym weń konfliktem interesów. Jaka jest bowiem zdolność KDO do konstruktywnej krytyki projektów miejskich, gdy jej członkowie jako przedstawiciele organizacji pozarządowych ubiegają się o środki w konkursach organizowanych przez miasto. O „defaworyzowaniu z powodu krytyki” czy o „niekorzystnym wpływie mówienia o problemach na wyniki konkursów” mówią Majewski i Polak. Dolik przeciwstawiła temu swoją wiarę w rzetelność osób oceniających wnioski konkursowe i zadeklarowała chęć reaktywowania struktury KDO.

To oczywiste, że sama nic nie robi, jeśli organizacje sektora kultury nie będą chciały rozmawiać. Pełnomocniczka nie ma jednak pomysłu, jak je zachęcić do współpracy. Zresztą kultura nie jest dla niej najważniejsza, nie z nią się utożsamia. W Łodzi jest ponad trzy tysiące organizacji pozarządowych. Nie pozostawiła też złudzeń, że robi rewolucję, że ma rozległe plany. Przyznała, że wciąż jeszcze rozeznaje się w sytuacji, ale już widzi po stronie Wydziału Kultury dużą otwartość.

– Miasto miało być współtworzone z mieszkańcami, władze mówiły o tym dwa lata temu – Marcin Polak wspomina wielką kampanię promocyjną. – Ale poszło to w takim kierunku, że politycy i urzędnicy coraz mniej słuchają mieszkańców. Znam wiele bardzo fajnych osób, które pracowały w urzędzie i dawały nadzieję na jakąś zmianę. One już tam nie pracują. Mam nadzieję, że teraz będzie inaczej i że pani Monice się uda, podobnie jak Elizie Gaust – pełnomocniczce ds. równego traktowania.

Bogdan Sobieszek